NOWY
DZWONEK.

PISMO MIESIĘCZNE DLA LUDU POLSKIEGO.

Rok XXIII. — Wrzesień 1916. — Nr. 9.

NAKŁADEM WYDAWCY.

KRAKOWSKA DRUKARNIA NAKŁADOWA W KRAKOWIE.

Adres redakcyi: Kraków ul. Powiśle l. 12.

PROSIMY

Szanownych Czytelników naszych o zachęcanie znajomych i sąsiadów do prenumerowania „Nowego Dzwonka“. Szan. Czytelnicy widzą zapewne, że pismo nasze służy dobrej sprawie, bo zdrowej oświacie ludowej — więc kto się stara o rozszerzanie „Nowego Dzwonka“ i nakłania drugich do prenumerowania tego pisma, ten razem z nami pracuje dla oświaty ludu, dla dobra swych bliźnich.

Prosimy także wszystkich Przyjaciół naszego pisma, aby wspomagali nas **osobnymi naddatkami** na **„fundusz prasowy“** dla „Nowego Dzwonka“. Samą bowiem prenumeratą, niepodobna dziś, przy wielkiej drożyźnie papieru, druku i t. p. pokryć wszystkie koszta pisma, a my znikąd żadnej pomocy nie mamy.

Kto dziś wspomaga pismo katolickie, spełnia taki sam dobry uczynek, jakby dawał ofiarę na budowę kościoła; — tak orzekł jeden z ostatnich Papieży.

Rocznik XXIII. Kraków 1. Września 1916. Nr. 9

NOWY DZWONEK

PISMO LUDOWE

WYCHODZI RAZ W MIESIĄCU — OKOŁO DNIA 1-go.

Prenumerata „NOWEGO DZWONKA“ wynosi w Austryi na rok: 3 korony — półrocznie: 1 kor. 50 hal. — Do Niemiec na rok: 4 kor. — Do Ameryki rocznie 1 dolar. — Numer pojedynczy: 25 hal.

Adres: Redakcya „NOWEGO DZWONKA“ w Krakowie, ul. Powiśle 12.

Objaw bardzo smutny.

„Nie masz pan pojęcia, jak się nasz lud polski i ruski w Galicyi zmienił ostatnimi czasy pod względem obyczajowym, pod wpływem wojny“.

Tak mówił niedawno do redaktora „Nowin wiedeńskich“ pewien pan przybyły z Galicyi do Wiednia.

„Zaczynam nie poznawać tego ludu“ mówił ów pan dalej — „a zwłaszcza kobiet. Pozostawione same sobie, gdyż większość mężów, braci, ojców, synów, poszła na wojnę, posiadając więcej, niż dawniej pieniędzy — trwonią ten grosz w sposób najnierozumniejszy, bo na jedzenie, picie stroje i nawet przybory toaletowe“.

Czy to być może? — spytał redaktor „Nowin wiedeńskich“.

Dam panu przykład. Oto przed wojną nie było w mieście S. osobnych sklepów z perfumami. Można je było dostać tylko w aptekach i drogeryach. Gdy po wyparciu z Galicyi Moskali wróciłem do miasta — zobaczyłem sklep z szyldem „Perfumerya“. Wchodzę i widzę, że to istotnie sklep taki. Pytam się tedy właściciela, czy dziś może liczyć na odbyt. A on mi na to odpowiada, że i on i kilka jeszcze innych podobnych sklepów robią wyborne interesy. Kupującemi są przeważnie wszystkie kobiety wiejskie i dziewczęta, ogromnie łase na mydełka wonne i różne pachnidła. Są i takie między niemi, co i szminki na upiększanie twarzy kupują.

— Wygląda to na bajkę lub żart.

— Niestety, mój panie — to rzecz bardzo smutna — ale prawdziwa. Posłuchaj pan dalej. Jeden z moich znajomych księży, opowiadał mi, że kobiety wiejskie tak sobie rozsmakowały w czasach dzisiejszych, gdy mogą wydawać grosz dowoli, nie potrzebując się obawiać ni słuchać męża, że już wiele zgłaszało się do niego z zamówieniem Mszy do świętego Antoniego na intencyę jak najdłuszego trwania wojny.

Skarżył mi się też pewien poważny gospodarz wiejski, że jego żona kupiła sobie buciki „szewro" za 56 koron, i że takie buciki zaczyna po wsiach nosić coraz więcej kobiet i dziewcząt, a są one na nich nie tylko za drogie ale i bardzo niepraktyczne, bo na wsi często błoto i rosa, a bucik taki rychło pęka i pieniądze przepadają. Lecz co dzisiaj naszym kobietom pieniądz!

Mówili mi też wójtowie — tak prawił dalej ów pan — że już dużo kobiet po wsiach, których mężowie są na wojnie, musieli oddać pod kuratelę za marnotrawstwo, ponieważ w razie przeciwnym przepuściłyby cały majątek.

Nie mniej złem jest i to, że nawet gospodarze i to starsi, rozważniejsi, nie chcą płacić długów, żyją nad stan i wyzbywają się inwentarza po cenach obecnie wysokich, a właśnie inwentarz jest najcenniejszą częścią majątku. I ci również pragnęliby, aby wojna trwała jak najdłużej."

Tyle ów pan.

Po prostu mówiąc, wierzyć się nie chce, aby nasza wieś dziś tak lekkomyślnie żyła, w czasie tak poważnym. A jednak stwierdzają to świadkowie naoczni, którzy z ludem żyją i nad tym smutnym objawem bardzo ubolewają.

A jest nad czem boleć, bo ci, co się dziś tak bawią i grosz trwonią, kiedyś gorzko tego żałować będą. Trzeba bowiem wiedzieć, że przyszłość, że czas po wojnie, nie będzie wcale różowy, jak to niektórzy myślą. Po wojnie i podatki będą wyższe, i drożyzna dalej trapić nas będzie, więc na takie ciężkie czasy należy grosz oszczędzać, a nie wydawać go na błahostki lub na pijatykę.

A choćby po wojnie było lepiej, co jednak trudno przypuścić — to jako chrześcijanie powinniśmy o tem pamiętać, że im więcej mamy majątku i grosza, tem więcej powinniśmy nim wspierać biedaków, co przez wojnę całe mienie utracili, a przedewszystkiem wdowy i sieroty po poległych żołnierzach.

Poganinem jest, a nie wyznawcą Chrystusa, który grosz

wydaje na zbytki i hulatyki, zamiast wspomódz nim bliźniego swego. Chystus Pan wyraźnie powiedział, że tylko ci są uczniami i wyznawcami Jego, którzy dobrze czynią bliźnim swoim.

5 sierpnia 1864 — i 5 sierpnia 1916 w Warszawie.

Po upadku ostatniego powstania polskiego z roku 1863, rząd rosyjski mścił się w okrutny sposób na polskim narodzie, a zwłaszcza na uczestnikach powstania i na członkach „Rządu narodowego“ z których kilku udało mu się ująć.

Tych członków rządu powstańczego, a było ich 5-ciu, Romuald Traugut, dyktator powstania, Rafał Krajewski, Józef Toczyski, Roman Żukowski i Jan Jeziorański, stracili siepacze moskiewscy 5 sierpnia 1864 na stokach cytadeli warszawskiej.

Profesor Mikołaj Berg, który z oddalenia 30 do 40 kroków widział wszystkie szczegóły stracenia naszych bohaterów, tak je opisuje w swoich zapiskach kronikarskich.

Dnia 5 sierpnia (1864 r.) na stokach cytadeli warszawskiej wystawiono rusztowanie z wielką wspólną szubienicą. Do belki poprzecznej przymocowano 5 kółek żelaznych z przeciągniętymi już stryczkami. O godzinie 8-ej rano wojska otoczyły plac egzekucyi.

O godzinie 9 ukazała się w bramie cytadeli ponura procesya z katem na czele.

Skazani jechali każdy oddzielnie na jednakowych drabiniastych wózkach, używanych zwykle do wywożenia gnoju. Jechali z odkrytemi głowami, mając każdy po prawej ręce księdza Kapucyna.

Po obu stronach wózków jechali w pełnej gali, w lśniących hełmach, na swych ogromnych koniach żandarmi z obnażonymi pałaszami, oraz postępowato kilka plutonów piechoty.

Pierwszy jechał Traugut, ubrany tak jak go aresztowano w długim granatowym ciepłym palcie, obramowanym szeroką taśmą.

O 30 kroków przed rusztowaniem skazanych zsadzono i ustawiono po lewej stronie szubienicy.

Oficer polowego audytoryatu odczytał wszystkim wspólny wyrok śmierci. Najmniej uważał na to czytanie Traugut, nie przestawał ani na chwilę rozmawiać z towarzyszącem mu księdzem.

Następniem Traugut z dziwnym spokojem wdział na siebie śmiertelną koszulę, co za nim uczynili inni. Nie wiadomo z czyjego rozkazu żadnemu z nich nie związano rąk. Skazańcy mieli więc zupełną swobodę ruchów z czego korzystając, gdy wprowadzono wszystkich na rusztowanie i postawiono na małych schodkach pod stryczkami, Krajewski mógł wydostać z pod stryczka i poprawić swoją długą piękną brodę; Toczyski schwycił stryczek do ręki, pocałował go i także wydobył z pod niego brodę. Najmniej spokoju okazywał Jeziorański, zwracał głowę na lewo i prawo, w oczach malowała się trwoga, twarz jego była trupio blada, a włosy niegdyś piękne i gęste, teraz znacznie przez czas więzienia przerzedzone były wzburzone i zjeżone.

Traugut tracony był pierwszy.

W ostatniej chwili złożył ręce i podniósł oczy do nieba. Tak z podniesioną głową pozostał na stryczku nawet jeszcze wówczas, gdy po skonstantowaniu śmierci zdjęto mu z oczu przepaskę trójkątną.

O Krajewskim Berg dodaje:

Generał Lebiediew pozwolił Krajewskiemu na widzenie się z żoną i 3-letnim synkiem, którego matka przyniosła do X. pawilonu. Z początku zezwolono tylko otworzyć okienko we drzwiach i rozmawiać przez kratę.

— Generale — przemówił Krajewski — czy nie możnaby bez kraty?

Lebiediew kazał otworzyć drzwi, wpuścił żonę, dziecko i sam wszedł do celi. Krajewski trzymał syna na kolanach, gładził go po głowie, całował, przeżegnał i zapłakał. Nic jednak nie mówił.

Jedna z pań polskich, dotąd żyjąca, podaje inne jeszcze z owego pamiętnego dnia w dziejach Warszawy.

Wieść o terminie stracenia — opowiada p. Józefa Bursiewicz — obiegła Warszawę na dzień przed tem i wywołała ogólne poruszenie. Mężczyźni wszyscy szykowali się do pójścia na miejsce kaźni, nie chcąc zabierać z sobą kobiet i dzieci.

I one jednak w tejemnicy przed starszymi pociągnęły rankiem na stoki cytadeli.

Droga, wiodąca do miejsca kaźni, była pełna pojazdów prywatnych, dorożek i bryczek.

Skierowały się one po prawej stronie placu przed cytadelą, lewą stronę pozostawiając tłumom, pieszo przybyłym.

Pogoda była piękna, słoneczna, a wśród tłumów panowała ponura, jakby przed burzą cisza...

Nie mówiono do siebie nic — a jeśli mówiono — szeptem, półgłosem.

Zaturkotały koła wózków — tłum zmartwiał — zastygł w oczekiwaniu.

Straszne wrażenie robili skazańcy i towarzyszący im do ostatniej chwili zakonnicy. Wśród nich była popularna postać O. Honorata, żyjącego do dziś dnia i znajdującego się obecnie w Nowem Mieście.

Śledzono każdy krok, każdy ruch skazańca, utrwalano je sobie na długo w pamięci.

Kiedy warknęły bębny oddziału wojska, ustawionego przed szubienicą, a kat przystąpił do stracenia Trauguta, z zamarłych długo piersi wyrwał się cichy jęk a po nim płacz wielu tysięcy — cichy, a tak rzewny, że nikogo nie było, ktoby mógł być nań obojętnym

Postać Trauguta z wniesionemi w górę oczyma i skrzyżowanemi rękoma przykuła uwagę wszystkich — i to zatarło szczegóły męczeńskiej śmierci jego towarzyszy.

Po egzekucyi tłum długo nie ruszał się z miejsc, szlochając.

Poruszono się dopiero wówczas, gdy za zezwoleniem egzekutorów pozwolono kilku osobom prywatnym zbliżyć się do szubienicy i zdjąć z niej zamordowanych.

„Nie kaci! Panowie ich zdejmują!“ — poszedł słuch po tłumie.

Następnie przez zwartą ciżbę garnących się ku zwłokom ludzi widziano, jak żołnierze, otoczywszy złożone na ziemi zwłoki, przenieśli je na wózki i odwieźli do cytadeli.

I minęło lat 52. Wielka i straszna wojna światowa z początkiem sierpnia 1915 r. wyrzuciła orężem Niemców Rosyan z Warszawy, w rok zaś potem dnia 5 sierpnia 1916, urządziła Warszawa wspaniały i rzewny obchód rocznicy z 5 sierpnia 1864 r.

Dnia tego odbyły się rano w kilku kościołach uroczyste nabożeństwa żałobne za dusze owych 5-ciu męczenników narodowych, straconych w roku 1864 przez Moskali. Świątynie przepełnione były publicznością ze wszystkich sfer.

Po południu koło godziny 6 zaczęły się ku stokom cytadeli zbliżać liczne delegacye i zajęły miejsce nie daleko od miejsca stracenia, na którem teraz ustawiono duży krzyż dębowy z koroną cierniową.

Ks. Franciszek Gąsiorowski dokonał poświęcenia krzyża, poczem odmówiono za dusze męczeników „Zdrowaś Marya". Z kolei nastąpiło złożenie aktu pamiątkowego u stóp krzyża w skrytce zrobionej w obramowaniu z cegieł.

Potem na mównicę wstąpił ks. Gąsiorowski. W podniosłej patryotycznej mowie opisał mękę straconych i mękę narodu. „Ale patrzcie — pocieszał — na ową mękę Pańską, którą dziś tu postawiliśmy: jak ten umęczony i cierniami ukorowany Chrystus zmartwychwstał, tak zmartwychwstanie i umęczona Polska. Tak chce Boska sprawiedliwość".

Przy dźwiękach „Boże, coś Polskę", płynących z tysiącznych piersi, delegacye poczęły składać wieńce. Złożono je długim szeregiem.

Rozpoczęły się następnie przemówienia z czterech ustawionych w różnych miejscach mownic.

Marszałek Rady miejskiej, rektor uniwersytetu Brudziński mówił, że w tem miejscu popełniono ciężką zbrodnię mordu haniebnego. I oto przyszła kara. W rocznicę zbrodni gnębiciele musieli stąd uchodzić. A ci, których uprowadzili z sobą — wrócą już do Polski wolnej. Zakończył mówca ostatniemi słowy Traugut: „Polska nie zginęła! Niech żyje Polska!"

Z kolei przemawiali inni mowcy, a po skończeniu wszystkich przemówień odezwały się śpiewy narodowe poszczególnych grup. Ze śpiewami i ze sztandarami poczęły koło godziny 8 wieczorem opuszczać miejsce upamiętnione na wieki.

Z niejednej piersi ulatywały łez westchnienia za dusze męczenników narodowych i modły za Polskę.

Drugi list z Tyrolu.

W pierwszym moim liście obiecałem Szan. Redakcyi napisać nieco o tutejszych mieszkańcach. Zatem, wywiązując się z obietnicy, przesyłam parę spostrzeżeń, przyczem zaznaczam, że opis charakteru mieszkańców nie będzie zupełny, gdyż tylko o tem piszę, co najbardziej zwróciło moją uwagę.

Tyrol zamieszkaly jest w przeważnej części przez Niemców, tylko mała część w południowym Tyrolu ma ludność narodowości włoskiej, to znaczy mówiącej po włosku, ale od wieków do Austryi przywiązanej. Cała ludność jest katolicka i odznacza się wielką religijnością i przywiązaniem do cesarza, w ogóle do panującej w Austryi dynastyi habsburskiej.

Nic dziwnego, gdyż właśnie z tych stron dynastya habsburska ród swój wywodzi. Tyrolczycy stanowili zawsze podporę tronu Habsburgów, czego dowodem, że do dziś dnia istnieje tu urządzenie, którego niema w żadnym innym kraju Austryi, mianowicie, że młodzież zapisuje się na ochotnika do tak zwanych „wolnych strzelców tyrolskich", ćwiczy się w strzelaniu i obrotach wojskowych a zobowiązana jest do obrony kraju do najpóźniejszego wieku, dopóki tylko siły starczą.

To też kiedy była na początku wojny mobilizacya, wszyscy „wolni strzelcy" odrazu wyruszyli w pole na front bojowy. Oprócz tego wszyscy inni mężczyźni zdatni do służby wojskowej powołani są pod broń i służą w pułkach zwanych „strzelcami cesarskimi". Noszą oni na wyłogach mundurów kwiat alpejski: „szarotkę", a na czapkach cietrzewie pióra. Tak „wolni strzelcy", jak i „strzelcy cesarscy" odznaczają się wielkiem męstwem i daje się dobrze we znaki Włochom, którzy zdradziecko na Austryę, a mianowicie na Tyrol, napadli.

W początkach wojny bili się Tyrolczycy mężnie także u nas w Galicyi z Moskalami i wielu z nich poległych leży na naszej polskiej ziemi. Wielu padło pod Przemyślem, wielu dostało się do niewoli rosyjskiej. Przed wojną z pewnością mało kto tu wiedział, że istnieje na świecie jakiś Przemyśl, a teraz widziałem tu, jak dzieci zbudowały z kamyków małą twierdzę, umieściły na szczycie baszty chorągiewkę, a z boku dały napis: „Przemyśl".

Chociaż w w tych stronach Tyrolu, gdzie jestem, nie było nieprzyjaciela, to jednak i tutaj wojna dała się ludziom dobrze we znaki. Przedewszystkiem upadł wszelki przemysł, wszystkie fabryki i warsztaty stanęły, a następnie niema teraz żadnych gości, bo niewolno nikomu do Tyrolu przyjeżdżać, hotele i gospody stoją puste, przepadł wszelki zarobek. A roli ornej prawie że tu niema, więc trzeba wszystko kupować. a pieniędzy brak.

Ale i na to mają Tyrolczycy sposób. W każdem społeczeństwie znajdują się przecież ludzie zamożniejsi, a więc i tutaj. A że panuje tu duch prawdziwie chrześcijański, miłość bliźniego,

zatem niema tu tego, żeby jeden grosze dusił, a drugi umierał z głodu. To jest rzeczywiście rys charakteru Tyrolczyków bardzo piękny i godzien naśladowania, a płynie on, o ile mnie się wydaje, ze szczerej i prawdziwej pobożności.

O silnych przekonaniach katolickich ludu tyrolskiego słyszałem od dawna, ale dopiero tu na miejscu zobaczyłem, jak się to w praktyce objawia. Najpierw zauważyłem, że ludzie, nie tylko prości, ale i wykształceni, jawnie i otwarcie Pana Boga chwalą, w kościele przez całe nabożeństwo klęczą, modlitwy głośno razem (jak tu jest zwyczaj) ze wszystkimi odmawiają. Kiedy jest jaka procesya po mieście, wszyscy idą za procesyą i to parami, i wszyscy się głośno modlą. W każdej wsi jest tutaj kościół, bodaj malutki, i prawie w każdej wsi ksiądz, ma się rozumieć jeden, bo tu niema dużych parafij.

Ale na modlitwach pobożność tutaj się nie kończy. Ona jest w życiu, a objawia się w uczynkach miłosiernych względem bliźnich. Nadmienię, co sam widziałem.

Niema tu wcale żebraków włóczących się, jak u nas, od domu do momu. Dla biedaków, starców, sierot i kalek są odpowiednie zakłady, schroniska, domy przytułku, szpitale, postawione i utrzymywane kosztem czy to gmin, czy miast, czy kraju. Jeżeli zaś trafi się, że człowiek ubogi podróżuje, to znajdzie on w każdem mieście i w każdej większej wsi postawiony na ten cel „dom noclegowy“ dla ubogich podróżnych. Tam dostaje ubogi bezpłatny nocleg, porządnie zaścielone łóżko, ciepły w zimie kąt, w którym może przez 24 godzin odpocząć, a potem rusza w dalszą drogę. Jeżeli potrzebuje zasiłku pieniężnego, to idzie do kancelaryi gminnej, lub do proboszcza i tam jest na takie wsparcia fundusz złożony przez członków gminy.

W czasiej tej wojny pourządzano po miastach i po wsiach bezpłatne kuchnie dla ubogich, w których dają najbiedniejszym jadło za darmo. Pieniądze na ten cel składają wciąż zamożniejsi mieszkańcy. Kilkakrotnie już zbierano po domach odzież, aby przyodziać tych, których nie stać na kupienie sobie koniecznego ubrania.

Szczególnie zaopatrzono dzieci szkolne w ubrania, buciki i książki. A także czytałem ogłoszenie, że zbierano składki na sprawienie wszystkim biednym dziewczątkom białych sukienek, a chłopczykom ubrań i białych szarf, przystępującym do pierwszej Komunii św. Jest tu bowiem ładny zwyczaj, że dziecko przyszedłszy w dzień pierwszej Komunii św. z kościoła do domu,

nie zdejmuje uroczystej sukienki aż do samego wieczora i ma się tak grzecznie bawić, aby broń Boże sukienki nie splamiło.

Byłem niedawno na zgromadzeniu, w którem brał udział biskup, książę z niedalekiego zamku, najpierwsi dygnitarze powiatu i miasta, a także duchowieństwo i obywatele, oraz zaproszeni goście (między którymi się znajdowałem). Obradowano nad szczegółami już założonego: „Stowarzyszenia srebrnego krzyża“, mającego za cel zaopiekować się po wojnie tymi wszystkimi, którzy wrócą z wojny kalekami, chorymi, w ogóle upośledzonymi w możności zarobkowania. Stowarzyszenie będzie mieć w każdej gminie swoich mężów zaufania i będzie pomagać i pośredniczyć wynajdywaniu odpowiednich zajęć i zarobków dla tych inwalidów. Otoczy ich wogóle najtroskliwszą opieką. Przykład godzien naśladowania w naszym kraju.

Zapewne, że i Tyrolczycy mają swoje wady, ale nie piszę jak, wspomniałem na początku, o wszystkiem, tylko o tem co ciekawsze. A więc wspomnę jeszcze, że przejechałem cały Tyrol wzdłuż i wszerz, a nie widziałem tu jeszcze ani jednego żyda. Aż mi dziwno, bo w Galicyi tak człowiek do widoku „naszych żydków“ przyzwyczajony.

Tak więc Tyrolczycy, choć stracili wskutek wojny wszystkie zarobki, rolnictwa nie mają, większa część ludności zupełnie niema z czego żyć, to jednak wspierają się wzajemnie i doskonale ciężkie czasy przetrzymują. U nas w Galicyi patrzyłem niestety na wypadki, gdzie jeden drugiemu, choć miał, za drogie pieniądze nie chciał odrobiny żywności sprzedać. Zdałoby się wpoić w nasz lud, który w gruncie rzeczy nie jest gorszy od tyrolskiego, więcej ducza społecznego, więcej miłości chrześcijańskiej. *Czytelnik* „N. Dzwonka.“

700-letni jubileusz zakonu OO. Dominikanów.

Siedmset lat mija w roku bieżącym, jak Papież Honoryusz III zatwierdził regułę zakonu OO. Dominikanów, zwanego także „zakonem kaznodziejskim“.

Założycielem tego zakonu był święty Dominik, mąż Boży, urodzony w roku 1170 w Hiszpanii, w mieście Kalaroga. Święty Dominik był potomkiem zacnego i szlachetnego rodu. Już przed

przyjściem na świat upragnionego dziecięcia matka św. Dominika miewała sny i widzenia, zapowiadające jej święte przeznaczenie mającego narodzić się syna. A po chrzcie świętym matka chrzestna widziała na czole niemowlęcia gwiazdę, która promieniami swemi świat oświecała.

Z woli Bożej spełniły się widzenia i sny prorocze i święte pacholę od lat dziecięcych przejęte duchem Chrystusowym wskazywało, że Bóg je do wielkich powołał rzeczy.

Początkowe nauki pobierał św. Dominik pod kierunkiem swego stryja, prałata, a później w szkole w Palencyi. Gorliwy do nauk wyróżniał się wśród towarzyszy nietylko zapałem do pracy, lecz pobożnością i duchem miłosierdzia. Otrzymawszy święcenia kapłańskie, oddał się cały służbie Bożej. Szerzyła się podówczas we Francyi tak zwana herezya Albigenzów. Przejęty duchem Bożym, św. Dominik udał się do Francyi, pieszo obchodził kraj i w kazaniach zbijał nauki odszczepieńców.

Wymownym jego słowom towarzyszyły wymowniejsze jeszcze cuda i wielu zbłąkanych powracało na łono św. Kościoła. Gdy około św. Dominika zgromadzili się uczniowie, gotowi za przykładem mistrza oddać się wyłącznie świętej sprawie nawracania odszczepieńców za pomocą żywego słowa, powziął św. Dominik myśl założenia zakonu kaznodziejskiego, któryby miał na celu głoszenie prawdy katolickiej i wyplenienie przewrotności kacerskiej.

Papież Inocenty III zezwolił na utworzenie nowego zakonu, który po śmierci Inocentego zatwierdził ostatecznie Honoryusz III dnia 22 grudnia 1216 roku pod nazwą Braci Kaznodziejów. Szczególnym bowiem obowiązkiem nowego tego zakonu była praca kaznodziejska i zwalczanie heretyków za pomocą słowa żywego. Papież Honoryusz zatwierdził nowe zgromadzenie ufając, iż nowi ci słudzy Boży staną się „bojownikami wiary i prawdziwymi świecznikami Kościoła“. I nie zawiodły go słuszne oczekiwania.

Niebawem pod wodzą św. Dominika stanęły pierwsze klasztory dominikańskie we Włoszech, Francyi i Hiszpanii. W kilka lat po założeniu zakonu klasztorów tych liczono sześćdziesiąt. Upominał je i żegnał Święty założyciel, który dnia 4 sierpnia 1221 roku zasnął w Panu, aby wiernie strzegły przepisów zakonu.

Św. Dominik zmarł we Włoszech w mieście Bolonii i tamże pochowany w kościele Dominikanów. Grzegorz IX, który znał osobiście św. Dominika, kanonizował go 1234 roku. Madryt,

stolica Hiszpanii, obrała go swoim patronem. Jemu zawdzięcza świat katolicki nabożeństwo Różańca świętego.

Po śmierci św. Dominika zakon kaznodziejski rozszerzał się dalej i objął nieomal wszystkie kraje świata katolickiego. W czasie największego swego rozkwitu liczył przeszło 150 tysięcy członków w 48 prowincyach powstałych. Prowincye obejmowały nietylko kraje w Europie, lecz w Azyi i Ameryce. Synowie św. Dominika położyli wielkie zasługi, jako krzewiciele wiary św. i oświaty. Utrzymywali znakomite szkoły i pielęgnowali w murach klasztornych naukę i sztukę. Wydali też poczet mężów sławnych między nimi św. Tomasza z Akwinu. Mówiono o nich, że zaludnili niebo Świętymi. Wydali bowiem czterech Papieży, 60 Kardynałów, 150 arcybiskupów: 800 biskupów.

Dominikanie w Polsce.

Synowie św. Dominika wcześnie przybyli do Polski, bo jeszcze za życia św. Dominika. Strój dominikański, białe habity i czarne płaszcze i kaptury, przynieśli do Polski dwaj święci Bracia Odrowążowie Jacek i Czesław, przez samego św. Dominika w Rzymie przyobleczeni w suknie zakonne.

Przybywszy do Polski, przyjęci zostali z radością w Krakowie, gdzie osiedli w drewnianym dworku przy kościele św. Trójcy. W trzy lata później tj. w roku 1223 oddał biskup krakowski Iwo Odrowąż, w obecności panującego wówczas Leszka Białego i zgromadzonego ludu św. Jackowi i towarzyszom kościół św. Trójcy wraz z zabudowanym przy nim klasztorem. Tak powstało w Polsce pierwsze gniazdo dominikańskiej rodziny, która powoli rozrosła się po całej ziemi polskiej i zaludniła liczne klasztory w Polsce, na Litwie i Rusi.

Zakon Dominikanów położył niemałe zasługi, dzięki bowiem pracy apostolskiej OO. Dominikanów powstawały kościoły na najdalszych kresach Litwy i Rusi, szerzył się katolicyzm, wzmógł się wpływ Polski między Wołochami w Mołdawii.

Oprócz św. Jacka i błogosławionego Czesława, wydał zakon dominikański w Polsce wielu męczenników za wiarę świętą. W Sandomierzu poniosło śmierć męczeńską z rąk tatarskich 40 zakonników z przeorem błogosł. Sadokiem na czele. W uznaniu też zasług, położonych dla wiary św., papież Inocenty IV nadał Dominikanom polskim przywilej używania pasów koloru czerwonego, na oznaczenie, że serca ich płoną ciągłą miłością Bożą i gotowi są wylać krew dla Chrystusa.

Dominikanie polscy dali Kościołowi ośmiu arcybiskupów, 88 biskupów i 246 mężów znakomitych świątobliwością i nauką. Jako kaznodzieja nadworny króla Władysława Czwartego, po złotoustym X. Skardze najznakomitszy z kaznodziejów polskich, wsławił się Dominikanin Fabian Birkowski. Jako mowcy i pisarze zasłynęli również w zakonie Abraham Bzowski i Dominik Frydrychowicz.

Szkolnictwo ich nie mniej chlubnie się zapisało w dziejach szkolnictwa polskiego. Wychowankami ich byli nasi wielcy poeci: Adam Mickiewicz, Syrokomla i inni. Słowem, zakon dominikański wywarł wielki wpływ na życie i stosunki w Polsce i brał udział w każdej dobrej sprawie ojczystej, może więc dziś z radością i zadowoleniem obchodzić swój 700-letni jubileusz, bo to jubileusz obfitej w plony pracy dla Boga i Ojczyzny.

Z POLA WÓJNY.

ZACIĘTE WALKI NA WSZYSTKICH FRONTACH.

Na froncie wschodnim trwa już od trzech miesięcy straszna ofenzywa rosyjska, prowadzona przez jenerała Brusiłowa przy użyciu wielkich mas wojska i olbrzymiej ilości amunicyi. Brusiłow i inni podwładni mu jeneralowie, ślą na front szeregi za szeregami, atakują dzień i noc, nieraz przez kilkanaście godzin bez przerwy — a jednak, jak dotąd — nie osiągnęli Rosyanie właściwego celu.

Z początku wprawdzie wiodło się niezgorzej Rosyanom, gdyż wyparli armię austryacką z pod Łucka, zajęli całą Bukowinę i część Galicyi od północy po za Brody, a od południa za Stanislawów, ale tu już utknęli i rozbijają się o spiżowy mur armii austryackiej i niemieckiej, z którą jako sprzymierzeńcy, walczą też od kilku tygodni w o j s k a t u r e c k i e, przybyłe w sierpniu z Turcyi do Galicyi.

Armia następcy tronu, arcyksięcia Karola Franciszka Józefa odnosi nadto zwycięztwa w południowej Bukowinie i wypiera ztamtąd powoli Rosyan.

Wobec tego wątpliwem jest czy uda się Rosyi zdobyć Lwów i Kowel. Maleje też potęga armii rosyjskiej, która od czerwca do końca lipca br. straciła blisko 600 tysięcy żołnierzy i około 40 tysięcy oficerów.

Na froncie zachodnim, we Francyi, zdobyli Anglicy i Francuzi na Niemcach po kilkutygodniowej zaciętej i nader krwawej ofenzywie zaledwie 150 kilometrów kwadratowych przestrzeni. I ta więc ofenzywa także się nie powiodła, obliczono bowiem, że aby Niemców wyprzeć z Francyi aż do ich granic, to trzebaby chyba 20 lat walczyć.

Na froncie włoskim udało się Włochom, silnym ogniem artyleryi zburzyć miasto Gorycyę, której ruiny opuścić musieli Austryacy i cofnąć się na otaczające góry. Dalsze jednak ataki włoskie koło Gorycyi i w Tyrolu odpiera dzielnie armia austryacka z wielkiemi stratami dla Włoch.

Na Bałkanie rozpoczęły ofenzywę armie bułgarska i niemiecka przeciw Salonikom, gdzie się od roku usadowili Anglicy, Francuzi i resztki armii serbskiej. Pierwsze kroki wypadły dla Bułgarów i Niemców korzystnie, odparli bowiem ataki nieprzyjacielskie i zajęli kilka miejscowości w północnej Grecyi.

ROZMAITOŚCI.

W mowie swej, wygłoszonej z końcem lipca br. do dziatwy rzymskiej, gdy ta przystępowała do Komunii świętej z prośbą do Boga o pokój, wte mniej więcej słowa odezwał się Ojciec święty:

„Wy, którzy jesteście dziś widzami najsmutniejszej historyi, jaką kiedykolwiek ludzkość widziała, musicie zrozumieć, iż dziś

trzeba prosić Boga o ratunek. Ludzkość musi wrócić znów do dzieła pokoju i przebaczenia.“

Przeniesienie zwłok Papieża Leona XIII. Dnia 22 lipca br. zostały przy zamkniętych drzwiach kościoła św. Piotra w Rzymie — zwłoki Papieża Leona XIII przeniesione bez żadnej pompy i uroczystości z tymczasowego grobu, gdzie od r. 1903 spoczywały — do nowego grobowca po lewej stronie nawy tegoż kościoła w tem miejscu, gdzie się znajduje obraz przedstawiający „Ofiarowanie N. Panny Maryi w świątyni“. Obecnym przy cere-

moniale był tylko Kardynał Mery del Val i kilku prałatów papieskich.

Pożar Makowa. Dnia 3 lipca br. przedpołudniem wybuchł w Makowie w rynku pożar, który, podniecony wichrem, przerzucił się na sąsiednie domy i w ciągu paru godzin zniszczył 51 domów mieszkalnych, nie licząc przybudówek i budynków gospodarczych. Szkoda wynosi pół miliona koron; 80 rodzin pozostało bez dachu.

Rosyjskie kradzieże w pałacu namiestnikowskim we Lwowie. Rosyanie uchodząc w roku zeszłym ze Lwowa pod naporem wojsk austryackich i niemieckich, obrabowaii doszczętnie pałac namiestnikowski.

Zabrali przedewszystkiem 7 olbrzymich potretów cesarskich i rodziny cesarskiej wartości około 28 tysięcy koron, dalej 4 obrazy olejne wartości 6 tysięcy koron, naczynia alpakowe wartości 1000 koron, srebro stołowe wartości 36 tysięcy koron, naczynia kuchenne za 12 tysięcy koron bieliznę stołową i pościel wartości 20 tysięcy koron i t. d.

Po odejściu Rosyan zaczęto pałac odnawiać. Po dokonaniu obliczenia szkód i restauracyi, pokazało się, że szkoda wynosi ogółem 200 tysięcy koron.

Dwa tysiące koron dla cesarza. Gdy ogłoszono niedawnego czasu czwartą pożyczkę wojenną i zachęcano do niej w Górnym Wikowie (na Bukowienie) ludność tamtejszą, by ją podpisywała, zgłosiła się pewnej nocy do komisarza Litwinka pewna wieśniaczka.

Litwinek, mimo spóźnionej pory, wyszedł do wieśniaczki. Komisarz był mile zdziwiony, gdy wieśniaczka wręczyła mu zawinięte troskliwie w chustkę, dwa banknoty tysiąckoronowe, ze słowami: „Słyszałam, że cesarz nasz znajduje się w kłopotach pieniężnych, dlatego też chcę pomódz naszemu staremu, dobremu cesarzowi, o ile to leży w mojej mocy i pragnę pożyczyć mu te oto dwa tysiące koron!"

Wyjaśnienie w sprawie 20-koronówek. Dużo ludzi jest zdania, że Bank austro-węgierski wycofuje z obiegu 20 koronówki z datą (tj. wydane) 20 stycznia 1907 r. Zapatrywanie to jest błędne, gdyż te banknoty będą dalej kursowały, wycofane zaś zostały z obiegu 20 koronówki z dnia 3 marca 1900 roku (kolor czerwony). Termin wymiany tych banknotów minął już 30 czerwca b. r. i teraz już ich wymieniać nie można.

Nasza Ojczyzna.

(Z pism Józefa Ign. Kraszewskiego).

Znaszli ten kraj, gdzie kwitną nad grobami piołuny,
Gdzie niebo twarz błękitną w szare kryje całuny?
Gdzie pola kośćmi zasiane, las szumi pieśń cmentarną,
Rzeki łzami wezbrane, przez ziemię płyną czarną.
Kraj ten smutny, ubogi, ciągnie serca tułacze,
On nad wszystko nam drogi, my z nim, on z nami płacze!

O pracy.

Czem jest praca. — Jak pracować. — Jak dzieci uczyć pracy.

(Pogawędka).

Bóg przykazał nam pracować, to też praca stanowi podstawę naszego bytu na ziemi i od niej zależy wszelki postęp ludzkości. Praca, którą poganie nazywali hańbą i poniżeniem była nie tylko u pierwszych chrześcijan, ale i u żydów w wysokiem poszanowaniu. Już do Adama powiedział Bóg, że„ w pocie czoła pożywać będziesz chleb twój", kto więc nie pracuje, nie wypełnia woli Bożej i staje się dla społeczeństwa nieużytecznym ciężarem.

Rozmaite były i są rodzaje pracy, a mianowicie: umysłowe i fizyczne. Jedne są łatwiejsze, inne trudniejsze, lecz każdą trzeba wykonywać z całą obowiązkością.

O ile poganie gardzili pracą, nazywając ją zajęciem niewolników, o tyle cenili ją żydzi; podczas kiedy z początku trudnili się tylko rolnictwem, zabrali się później do handlu, a w końcu do wymiany i do niesumiennego wypożyczania pieniędzy, do lichwy. Tego już pracą nazwać nie można, jest to zbogacanie się kosztem cudzej krzywdy i takiej „pracy" Bóg błogosławić nie może.

Starzy Grecy, Egipcyanie i t. p. uważali człowieka pracującego za obywatela ostatniej klasy i gardzili nim i całą jego rodziną. Byli oni tego zdania, że mężczyzna tylko mieczem

zdobyć sobie może środki do życia, uprawę zaś roli i wszelkie inne roboty powierzano kobietom i niewolnikom.

Wszystko to zmieniło się z początkiem chrześcijaństwa. Najlepszym i nawznioślejszym przykładem, pracującego człowieka był sam Jezus Chrystus. Był On synem cieśli i sam cieślą, to jest prostym robotnikiem. Św. Justyn twierdzi nawet, że Chrystus robił pługi i jarzma na bydło. A jak gorliwie pracował Jezus jako nauczyciel!

Święci Pańscy odznaczali się także wielką pilnością w wszelkiej pracy i zalecali ją wszystkim; jeden z Świętych zaś powiedział, że „na pracy spoczywa błogosławieństwo Boże!"

Że lenistwo jest początkiem wszystkiego złego, o tem pewnie wie każdy. „Lenistwo naprowadza człowieka na złe myśli i przytłumia w nim wszelkie szlachetniejsze myśli. Próżniak wystawiony jest na rozliczne pokusy, którym nie zawsze oprzeć się zdoła; dowodem tego karczmy, w których próżniacy długie we dnie i wieczorem spędzają godziny, przy kieliszku i kartach, marnując ostatni grosz, zarobiony przez — żonę lub matkę!

Praca powinna być połączona z pilnością, bo można pracować, a nie być pilnym. Człowiekowi pilnemu, pracowitemu idzie robota jak z płatka, wszystko wychodzi z pod jego ręki dobrem i wykończonem. Pilność — to kwiat pracy, prowadzący ją do doskonałości.

Co się robi, ma się zrobić dobrze, to najważniejszą jest zasadą. I do tego należy zawczasu przyzwyczajać dzieci; praca i pilność zapewnia im przyszłość i nada im energii i sprężystości ducha, tak bardzo w dzisiejszych czasach potrzebnej!

Dziecko powinno najmniejszą drobnostkę wykonać starannie i tak dobrze, jak tylko może. Cóż z tego, jeżeli n. p. pisze godzinami, a brzydko i niestarannie! Niech napisze jednę stronę, ale ładnie; większą mu to będzie korzyścią niż długie pisanie bez zadania sobie pracy. Wszelką robotę trzeba zastosować naturalnie do sił dziecka, cokolwiekbądź ma zrobić, powinno wykonać dobrze.

Najlepiej działa tu przykład rodziców. Córka matki próżniaczki rzadko kiedy jest pracowitą, leniwy ojciec nie będzie miał także pilnego syna.

Dziecko, zrozumiawszy błogosławieństwo pracy, pokocha ją a dobry przykład rodziców i nauka o pożytkach pracy wytworzą w niem pilność i zapewnią mu byt. I łaska Boga towarzyszyć mu będzie na każdym kroku.

Z piekła ataków.

Trzy obrazki z pola walki.

Atak piechoty.

Petrow, rosyjski sprawozdawca „Russk. Słowa“, tak opisuje atak piechoty rosyjskiej na pozycye austryackie:

„Jest 8 godzina wieczór. Trzeszczący, pękający ogień artyleryi, terkot karabinów maszynowych, wybuchy min, czasem ogień karabinowy, lecz nieregularny. Nasze (rosyjskie), wysunięte na przodzie linie są gęsto obsadzone wojskami. Przeważnie są to strzelcy sybirscy, tęgie, dzielne chłopy, którzy bardzo dobrze wiedzą, że stanowią rdzeń wojska. W ogromnych, niezamieszkałych okolicach nauczyli się liczyć tylko na siebie i to jest tajemnicą ich dzisiejszej siły. Są to wyborni strzelcy. Od dzieciństwa zrośnięci ze strzelbą i toporem, spisują się w wojnie lepiej, niż się po nich spodziewano.

O godzinie 9 wieczór rozchodzi się zawiadomienie, że na jutro o świcie wyznaczono wielki atak. Ogień artyleryi potęguje się do okropnego huku. Wyraźnie widać, jak u nieprzyjaciela wylatują w powietrze zasieki druciane i latające miny.

Nieprzyjacielska artylerya odpowiada na ogień i szuka stanowisk naszych dział; nie bezskutecznie, gdyż lotnicze wywiady nieprzyjaciela są po większej części zręczne.

Pop batalionowy przychodzi do rowów. W schroniskach błogosławi wojskom, przeznaczonym do ataku, wygłasza krótką przemowę, w której podnosi, że nic niema piękniejszego, jak w bohaterskiej walce zginąć za ojczyznę i kościół. Wielu przyjmuje Komunię, inni ostatnie pomazanie. Oblęgają popa prośbami. Otrzymuje całą masę adresów; we wszystkie strony olbrzymiego państwa ma wysłać pozdrowienia do „drogich“ i „szanownych“. Pop przyrzeka, że wszystko uczyni; święci kropidłem i błogosławi mnóstwo obrazków, krzyżyków i kartek.

A nieustannie dostawiają do rowów skrzynie z patronami, rozdają je, kontrolują bagnety. Każdy poddaje się swojemu obowiązkowi, milcząc, i bez przekleństw bierze w rękę to, co mu przeznaczono. Podczas strasznego koncertu artyleryi ma każdy czas jeszcze raz przemyśleć swoje dotychczasowe życie, i nieraz milczenie w schroniskach przerywane jest łkaniem, które bardziej rozdziera nerwy niż ogień huraganowy i atak.

O godz. 10 przychodzą do schroniska oficerowie. Dwaj chorążowie i jeden porucznik. Porucznik daje instrukcye, ogłasza rozkazy dzienne, poucza, jak się trzeba zachować. Ogień artyleryi staje się coraz silniejszym. Ziemia drży naokoło, w powietrzu ogromny łoskot i wycie. Schroniska drżą pod silnemi uderzeniami, piasek i ziemia sypią się nieustannie na głowy wojsk wybranych do ataku. Każdy połyka, ile zdoła zjeść, bo nikt nie wie, czy jutro albo pojutrze będzie co do jedzenia.

Porucznik sądzi, że atak będzie łatwiejszym, niż dotychczasowe, gdyż nasza artylerya wściekle obrabia pozycye nieprzyjacielskie. Być może, nie znajdziemy tam już wogóle wojsk nieprzyjacielskich... Zresztą nieprzyjaciel się już chwieje... Niech nikt nie daje się brać do niewoli. Jest zawsze rzeczą niedobrą popaść w niewolę. Car będzie po wojnie sądził wszystkich, którzy wrócą z niewoli do kraju; nie zobaczą oni nigdy swoich domów i pędą osiedleni we wschodnim Sybirze. Ludzie słuchają w milczeniu. Godziny upływają, strasznie długie i pełne męki.

O godz. 1 przychodzi ordynans od komendanta pułku. Porucznik czyta coś tajemniczego, przytakuje, pisze swój własny raport, czyni na tem dwa krzyże i oddaje ordynansowi. O godzinie 2 przychodzi do rowów kapitan i inni porucznicy. Rozdaje się granaty ręczne. Wysunięte naprzód patrole donoszą, że nieprzyjaciel opuścił rowy, ponieważ działanie naszej artyleryi było bardzo skuteczne.

O pół do 3 oznajmia kapitan, że atak zacznie się o 3 na całym froncie. Formuje się już linie; trzyma się broń w pogotowiu. Każdy czeka z wytężeniem komendy, która ma jego grupę przydzielić do pierwszej, drugiej lub trzeciej linii. Pierwsza — to prawie zawsze kandydaci na śmierć, druga przeważnie także. Każdy wie, że można iść tylko naprzód, wstecz pod żadnym warunkiem.

Kapitan wyjmuje zegarek i liczy głośno każdą sekundę. Nagle — serce bić przestaje — rozlega się komenda: „Do ataku naprzód!“ „Urra, urra, urra!“ i każdy stara się wypaść z rowu o ile można szybko. Oficerowie pozostają z wyjątkiem chorążego, przyłączają się oni z reguły dopiero do czwartej linii, bo tak zarządził naczelny komendant.

Z rozstrzaskanych, spustoszonych rowów wita atakujących szalony ogień. Posłyszawszy po naszej stronie sygnał do ataku, Niemcy zajęli szybko swoje dawne pozycye i posługują się swojemi karabinami maszynowemi w straszliwem tempie. Ale ata-

kujący już nic nie widzą, nic nie słyszą, czerwoną mgłą osnuwa się im cały świat: oczy podkrążone, bagnet ściska się kurczowo w garści, tak biegną w piekło plujące ołowiem i żelazem — jedna, dwie, trzy linie atakują. Luki — dalsze linie. Nic nie można rozróżnić.

Wybuchają miny latające, miny pękają i rozrywają ziemię. Nieprzyjacielska artylerya leje roztopione góry żelaza na drgających oszołomionych ludzi."

Atak Czerkiesów.

Bawiący w lipcu chwilowo we Lwowie ks. Ruczajewicz z Jezierzan, leżących koło Tłumacza, gdzie się toczą straszne walki, był świadkiem ataku Czerkiesów na okopy austryackie.

„Atakowała" — tak opowiadał ks. Ruczajewicz —" cała brygada Czerkiesów, widok tego ataku był imponujący, lecz zarazem i straszny. Z właściwą brawurą czerkieską, z szablą i piką w rękach a kindżałem w zębach, rzuciły się zastępy na oszańcowania.

Atak szedł z lasku na górce, przechodził dolinką znowu ku wyżynie, na której znajdowały się okopy, a przed nimi na pochyłości kilka rzędów zasieków drucianych i innych przeszkód. Jak tylko jedźcy ukazali się na dolinie, zaczęły swą straszną działalność karabiny maszynowe.

W pierwszych szeregach wszczął się zamęt, jeźdźcy spadali z koni, te zaś albo uciekały rozhukane z powrotem, albo same padały, wijąc się w śmiertelnych podrygach. Z trzaskiem karabinów maszynowych i zwykłych mieszały się dzikie ryki i kwik ranionych koni. Jeszcze gorszy widok był tych, którzy dojechali do zasieków, konie i ludzie wplątali się w kolczaste druty, raniąc się okropnie.

Jednak z jakąś dziką pogardą śmierci Czerkiesi zabrali się do przecinania drutów, zginęło ich przytem mnóstwo, całe stosy ciał tworzyły się w tem miejscu, lecz droga dalszym zastępom została otwarta. Natarły nowe oddziały, które jakby wulkan lawę wyrzucał z siebie nieustannie lasek na przeciwległem wzgórzu.

Zaczął się nowy mord w pierwszych okopach, konie wpadały w nie kalecząc się wraz z jeźdźcami. Przyszło do walki wręcz, bagnet z kindżałem. Wobec przewagi wojska austryackie ustąpiły na dalsze umocnienia pod Tłumaczem, Czerkiesi jednak byli już także tak wyczerpani, że dalszego ataku zaniechali. W zdobytych okopach zaczęli się sami oszańcowywać, następnego dnia zluzowała ich piechota."

Ataki na froncie północno-wschodnim.

Korespondent Berlińskiej gazety („Berliner Zeitung“) tak znowu przedstawia atak Rosyan na przednie placówki armii Hindenburga koło Katherinenhof.

„W nocy z 4 na 5 lipca br, wykonali Rosyanie gwałtowny atak na nasze przednie placówki. Zdobyli je, lecz po dwu godzinach już wyrzuciliśmy ich z zajętych nam rowów. I znów spokój. Atoli w niedzielę dnia 16 ruszyli Moskale powtórnie na zdobycie utraconych rowów — lecz szli i marli pod ogniem naszej artyleryi bezskutecznie.

Więc dnia następnego rozpoczęły się okropne uderzenia ich artyleryi ogniem, niebywałym jeszcze dotychczas na całym froncie wschodnim. Mało powiedzieć — burza, huragany pocisków szły nad ziemią i uderzały o nasze okopy.

Dzień i noc wyły w powietrzu granaty, szrapnele deszczem żelaza i ognia zalewały nasze stanowiska. A po takim zalewie armatniego ognia ruszyły w nocy 18-go pułki sybirskie do ataku. Szły, jak lawina nawą, jakby fale morza wystąpiły z brzegów i zalewały wszystko, co im na drodze stanęło na przeszkodzie. Szły prosto na nasze karabiny maszynowe, które tak straszliwą rzeź czyniły, że z pułków tych wracało zaledwie 50-ciu, czasem 20 niedobitków. Wszystkie uderzenia odparto.

Więc na drugi dzień Kuropatkin i jego prawa ręka, Dymitrijew Radko, rzucili nowe masy na żer armatni. I tak dzień po dniu szły nowe pułki nieszczęsnych sołdatów i rozbijały się w puch o granitowe okopy niemieckie.

Ranek 22 lipca oświecił jasnem słońcem krwią żołnierzy carskich hojnie zbroczoną okolicę.

Względna cisza zapanowala nad tym frontem śmierci, przerywana tylko od czasu do czasu wystrzałem armatnim z tej lub tamtej strony.

Nasi i wrogowie — czuwali.“

Pycha niedowiarka.

Coś niezwykłego dzieje się na dworze króla Bogobojnego. Tłumy ludu garną się przed zamkiem, gdyż takie jest życzenie władcy. Gwar wielki i rozruch wzmaga się.

I pyta jeden zdziwiony drugiego, dlaczego zwołano dzisiaj tak liczne rzesze. Z ciekawością wielką spoglądają na miejsce

wysypane piaskiem; w środku bowiem stoi słup złoty. I zjawiają się mędrcy kraju całego; widok ich budzi jeszcze większe ożywienie wśród tłumu.

W zamku zaś samym, a działo się to przed laty dawnymi, bardzo dawnymi, siedzi król, którego naród cały wielbi dla mądrości i dobroci, zadumany i zasmucony. Lecz choć czoło szlachetne bruzdami poorane, choć twarz smutkiem powleczona, oczy jednak gorzeją blaskiem niezwykłym. Stanął był bowiem przed nim mędrzec sławny, by podzielić się z nim wynikiem swej pracy naukowej, swych badań nieustannych.

I zadrżał król na słowa, które usłyszał: „Niema Boga, którego tron nad gwiazdami złotemi“ tak twierdził mędrzec. W tysiącach i tysiącach nocy badałem i poznałem nareszcie tajemnice świata całego. Niema Boga, któryby gwiazdom bieg ich nadawał, gdyż poruszają się one według praw odwiecznych, które dokładnie obliczyłem. Zamknij więc świątynie Boga, który tylko ułudą jest, zburz je, a tem postawisz sobie pomnik, którego wieki nie zniszczą“.

Lecz czas już, bo lud zebrany coraz więcej się niecierpliwi. Rozlega się głos trąby i ukazuje się tłumom mędrzec on. Biała broda spływa mu na piersi, twarz piękna wprawdzie, lecz zimna, surowa, w oczach zaś pycha niezmierna się odbija.

I po raz drugi rozlegają się dźwięki trąby. Król z orszakiem wkracza, a gwar i szmer cichnie. Oczy ludu zwracają się z miłością ku władzcy, który stanąwszy głosi ową wieść niezwykłą, z jaką u niego mędrzec się zjawił. I drżenie przeszło lud cały na słowa one, tylko mędrca twarz rumieńcem radości się krasi, bo pewien jest, że w dniu tym sława jego zajaśnieje blaskiem nieśmiertelnym.

Na znak dany przez króla przynoszą skrzynię złota. Otwierają ją, a wnętrze jej mieni się i migoce, bo pełną jest kamieni drogich, dyamentów i rubinów. I zwraca się król do mędrcy z powagą: „Weź te dyamenty i rubiny i spraw, by one na tym piasku około słupa złotego krążyły tak, by żaden na drugiego nie natknął. Łatwo ci to przecież przyjdzie. Zbadałeś bowiem ruchy gwiazd niebieskich, któremi żadna Boska moc, jak twierdzisz, nie kieruje, tem łatwiej te kamienie w bieg wprowadzić będzisz umiał. Uda ci się to, uwierzymy ci, twoje będą te klejnoty. Każę zburzyć, jak tego żądasz, świątynie Boga. Ale jeżeliś w pysze swej wyniosłej szczycił się rzeczą, króra przechodzi

moc twą i rozum, jeżeli ci się nie powiedzie, życiem bluźnierstwo swe przypłacisz".

Na to ów uczony zbladł; wiedział, że nie może tego wykonać. Więc rozpacz ogarnia serce jego, przedtem tak pyszne... Lęk i obawa strasznej kary nauczyła go pokory. Otóż ów mędrzec przed królem upada, błaga o łaskę, o życie.

Legenda o alkoholu.

Mówi się dziś często i czyta o alkoholu — o napojach alkoholowych — ale rzadko kto zdaje sobie sprawę z tego, co to jest — i co o tych napojach wszystkich sądzić.

Słyszał już niejeden z was, że w dawnych czasach wielu ludzi całe życie swoje strawiło nad tem, aby wynaleźć t. zw. „kamień mądrości". Był czas, że wielu uczonych oddawało się tej nadziei, że z pomocą różnych mieszanin można zrobić złoto, dyamenty, a także ów kamień mądrości. Ktoby go miał, przez niego stałby się najmędrszym, najpotężniejszym, najbogatszym człowiekiem i miał wiedzieć wszystkie tajemnice.

Chodziło tylko o to, aby utrafić tę mieszaninę, z której się ma składać ów kamień pożądany. To też uczeni tacy, zwani alchemikami, całe życie prawie w tygielkach i rądlach smarzyli i gotowali, topili różne kruszce, kamienie, zioła, aby jakoś złożyć ten „kamień mądrości".

Otóż takie to studya, dociekania, badania robił pewien arabski mędrzec. Aby mu w tem nikt nie przeszkadzał, urządził sobie pracownię w głębi wielkiego ogrodu daleko od domu, który zamieszkiwała jego żona z dziećmi. Raz na dzień przynosiła mu żona nieco do jedzenia i picia. Zazwyczaj pospieszył się uczony, zjadł bardzo mało, tyle zaledwie żeby jak to mówią z głodu nie umrzeć. A że miał zacną połowicę, która często suszyła mu głowę o to, że nie zjadł do dna — czego ona mu nawarzyła, więc chcąc nudnych jej grymasów uniknąć, co nie spożył, wylał zawsze do starego tygla stojącego w kącie.

Ale oto co spostrzegł po niejakim czasie? Ta mieszanina najrozmaitszych potraw słodkich — bo znaną jest rzeczą, że na wschodzie ludzie najwięcej słodkich potraw używają, — zaczęła „robić", kisnąć i z tygla rozchodził się po izdebce jakiś dziwny, podniecający, orzeźwiający zapach.

Zdumiał się na to nasz uczony. — Patrzy, przygląda się bliżej — wącha i kręci głową — co to może być? Ale nie traci nadziei, że wydobędzie tajemniczą tę siłę i już w duchu nasuwała mu się ta błoga myśl, tak wiele obiecująca, że odnalezie wreszcie ten kamień mądrości.

Nuże więc do tygla! Jak zacznie gotować, cedzić — spróbował, odstawił i znowu klaruje — i oto po długich mozołach — wydostał jakiś napój dziwny! — Kiedy go skosztował zdawało mu się, że nowych sił nabiera, jakieś ciepło błogie rozchodzi się po całem ciele, czuje, że mu krew zastygła, żywiej zaczyna krążyć w żyłach, troski i kłopoty, jakie nieustannie go trapiły, znikły, jakoby ich nigdy był nie miał.

Dawniej zniechęcony był, a teraz czuje jakby nowe życie w niego wstępowało, jakoby odmłodniał — pełen zadowolenia i szczęścia, co chwila powtarzał do siebie: „otom nareszcie odnalazł ów cudowny kamień mędrców“. „O jakie niewysłowione szczęście mię spotkało — mnie samego z tylu i tylu tysięcy!“ mówił do siebie.

W tym szale radości postanowił nowy ten napój nazwać alkehal (alkohol) t. j. piękne, delikatne, szlachetne. — Swojem doświadczeniem podzielił się z innymi ludźmi — wszędzie gdzie może rozszerza sposób jak wyrabiać on delikatny, szlachetny napój. — I już widzi, jak go cała ludzkość za to błogoławić będzie kiedyś jako swego największego dobroczyńcę. Bo zacznie się teraz czas złoty, czas szczęśliwości bez granic! Wiele lat minęło od tej chwili.

Nasz wynalazca — już zgrzybiały starzec. — Patrz! oto o północy wstał, bo boleść i zmartwienie sen mu z oczu płoszą — i stanął przy oknie i patrzy przygnębiony — w ciemną noc! — Co to za straszne złudzenie było! — Te dziwne cudowne prawie skutki — owego czarodziejskiego napoju — to tylko kłamstwo i ułuda. Ten cudowny napój, jakim ludziom podał, ten alkohol — okazał się zdradziecką trucizną, która zgubiła na świecie miliony ludzi na ciele i na duszy! Boże, mój Boże com ja uczynił! — wyjąknął z goryczą i boleścią.

W tem wicher zawył głucho, — i szeroko otwiera się okno — a wśród ciemnej nocy ukazują się nieszczęsnemu wynalazcy całe zastępy groźne i straszne — jakoby całe rzesze potępieńców — gnane wichrem przed jego oczyma; — to ofiary jego napoju! I widział tam twarze wykrzywione okropnym uśmiechem, pełne wzgardy i szyderstwa, nędzne, wyniszczone —

zbolałe! Widział tam rodziców mordujących własne dzieci — synów upojonych trunkiem rozdzierających piersi własnej matki i dzieci przeklinające rodziców, że im w spuściźnie zastawiły biedę i przykre choroby.

I ukazują mu się całe szeregi morderców i samobójców, całe zastępy okutych w kajdany ojców rodzin — i małoletnich wyrostków — a wszyscy twarze mają zwrócone ku niemu — ręce groźnie ku niemu się podnoszące i pięści zaciśnięte grożące, płacz niemowląt — i ze wszech stron zwrócone ku niemu przekleństwa — okropnem echem zawyły w jego sercu:

„Bądź przeklęty, nieszczęsny człowieku; coś dał do ręki ludziom?“ — i porwały go te rzesze potępieńców jako wodza i króla nieszczęsnych ofiar alkoholu, aby gnać z sobą do końca świata.

I do dziś dnia odbywa się ten nieszczęsny korowód króla alkoholu i rzesza potępieńców rośnie! Tak, rzesza potępieńców — rośnie i rośnie bez końca.

Powidła ze śliwek.

Do najlepszych i najtrwalszych, a przytem wielki pokup mających powideł, należą powidła ze śliwek. Smażenie ich w domu bardzo się opłaci, tembardziej kto ma swoje śliwki.

Śliwki przeznaczone na powidła, szczególniej gdy nie są zanadto dojrzałe, powinny poleżeć ze dwa dni, nim się do nich zabierze, bo to ułatwia bardzo wyjmowanie pestek. Przystępując do roboty, napierw opłókać należy śliwki w czystej, studziennej wodzie, potem wyjmować z nich pestki, przekrawując wzdłuż. Jednocześnie odrywa się i korzonki, a śliwki kładzie do dużych misek, lub innych naczyń, ku temu przysposobionych. Do tej czynności należy się zabierać albo bardzo rano, albo w przededniu gotowania, przechowując śliwki w miejscu chłodnem i czystem.

Najlepszy do smażenia powideł jest kocioł miedziany pobielany. Uszorowawszy go czysto, wlać do niego kwartę wody, a gdy się ta zagotuje, wsypać garniec wydrążonych śliwek. Dopiero gdy te pierwsze śliwki się rozgotują, dodawać częściowo coraz więcej, aż pod wierzch kotła — i smażyć na wolnym ogniu, często mieszając. Na starannem wymieszaniu powideł bardzo wiele zależy, trzeba też tego dopilnować. Osoba miesza-

jąca powidła stanąć powinna na podwyższeniu, aby mogła swobodnie ruszać i mieszać łopatką, (kopyścią drewnianą, którą do tego specyalnie trzeba zrobić). Przy gotowaniu powideł uważać należy, aby się nie nachylać, bo wybryzgują nieraz i łatwo oparzyć się można. Zwłaszcza dzieci, co to lubią wszędzie zajrzeć, trzeba trzymać w pewnem oddaleniu, o czem zresztą każda gospodyni i sama wie doskonale, bo przy każdem gotowaniu jest to samo.

Gotować trzeba tak długo, aż masa kawałkami z łopatki spadać zacznie. Póki gorące, nakładać w garnki, najlepiej kamienne, wstawić w piec po chlebie, aby zaschły po wierzchu, co chroni od pleśni — i obwiązawszy papierem, zachować.

Do wcześniej zerwanych śliwek trzeba dodać cukru; 1 funt na 10 funtów śliwek wystarczy. Gdy śliwki są zupełnie dojrzałe, wcale cukru nie trzeba dawać.

Korzystna hodowla.

Z powodu ogromnej drożyzny mięsa w obecnych czasach i braku mleka, zwrócono uwagę na hodowlę zwierząt, które są i jadalne i mleczne. Temi zwierzętami są **kozy.**

W Polsce hodowla kóz była dotychczas bardzo zaniedbana, zwłaszcza na równinach, natomiast okolice górskie posiadają więcej kóz. A szkoda, że nasi gospodarze tak sobie lekceważą hodowlę kóz, których mięso jest wcale smaczne, mleko zaś jest daleko zdrowsze od mleka krowiego i bezpieczniejsze dla zdrowia ludzkiego, bo kozy nie chorują na gruźlicę (suchoty).

Przedewszystkiem zaś dla dzieci ma wielką wartość mleko kozie z tego względu, że w swym składzie chemicznym zbliżone jest do mleka kobiecego, co ma wielkie znaczenie w odżywianiu dzieci. Wydajność mleka koziego bywa bardzo wysoka. Dobrze karmiona koza daje tyle mleka, co krowa, tj. do tysiąca litrów w ciągu roku.

Z mleka koziego nie można wyrabiać masła, bo drobne kulki tłuszczowe nie pozwalają się z mleka wydzielać. Natomiast sery z mleka koziego są bardzo smaczne i pożywne. W Niemczech i we Francyi wyrabia się wiele wykwintnych serów z mleka koziego.

Wreszcie nie trzeba i o tem zapominać, że skóra kozia ma wysoką wartość, bo z niej wyrabia się zamsz, safian oraz tak

zwane skóry duńskie potrzebne do wyrobu rękawiczek i droższego obuwia.

Wynika więc z tego wszystkiego, że hodowla kóz jest bardzo korzystna. Jedno tylko zachodzi obecnie „ale“. Oto trudno kozę nabyć „Krakowskie Towarzystwo rolnicze“ zamierzało sprowadzić do kraju większą ilość kóz z Czech, ale Czesi wyśrubowali ceny kóz do niebywałych rozmiarów i każą sobie płacić za dojną kozę 280 koron za sztukę. I po tej cenie Węgrzy kozy w Czechach wykupili. Z Niemiec też sprowadzać kóz nie można, bo rząd niemiecki polecił gorąco hodowanie kóz w jak największej ilości, wobec tego należy z własnych zasobów podnieść u nas hodowlę kóz, a po wojnie hodować kóz jak najwięcej — i jak najwięcej — także królików — a będziemy mieli i mięsa poddostakiem i dużo mleka zdrowego.

Ostatnie życzenie żołnierza.

Kapral 84 pułku piechoty, Benedykt Lang, syn wiedeńskiego cukiernika, walcząc dzielnie przeciw Moskalom, padł raniony śmiertelnie. Mimo zabiegów i starań lekarskich — tak, że od czasu otrzymania postrzału do ostatniego momentu, chwile jego już były policzone.

Młody, bo zaledwie 20 letni żołnierz, przyjął wiadomość o zbliżającej się śmierci zupełnie spokojnie. Rozporządził swym niewielkim majątkiem, pożegnał zasmuconych losem jego kolegów, a następnie wyraził następujące życzenie, prosząc, aby je niezawodnie spełniono.

— Pogrzebcie mnie — oto jego słowa, w mundurze paradnym pod gruszką, gdzieś w ustronnem miejscu, bym miał ciszę i spokój — a do grobu włóżcie mi moją gitarę, której zarówno ja jak i wy tyle miłych chwil zawdzięczamy. Proszę spełnić mą prośbę, bo i tak ostatnią — a z głębi serca płynącą.

Kapitan dowiedziawszy się o tem życzeniu, kazał je ściśle wypełnić. Ciało zmarłego ubrali koledzy w paradny mundur, wykonali dla niego grób na wzgórzu pod gruszą opodal przydrożnej kapliczki — a następnie razem z nim zagrzebali jego ukochaną gitarę, przystrojoną kwiatami, zebranemi na polu walki.

— Ostatnie życzenie żołnierza zostało spełnione.

Dla tych, co jeść i mówić wiele lubią.

Pewien perski poeta (Saady) z przed 700 lat taką w swem dziele: „Ogród różany“ podaje opowieść:

„W Chorosanie widziałem dwóch derwiszów, (zakonników perskich) którzy przez niemały czas z sobą żyli i pielgrzymowali. Jeden z nich był bardzo chudy i bardzo suchy, bo przez dzień i noc tylko raz jadał; drugi zaś bardzo gruby duży i tłusty. Trafiło się, że w jednem małem miasteczku za szpiegi ich pojmano, potem według zwyczaju zamurowano.

We dwie niedziele, o ich niewinności pewną wiadomość wziąwszy, odmurować kazano. Ażci on tłusty i mocny umarł, a ów chudy i słaby żyw został. Tej sprawie dziwowali się ludzie, co usłyszawszy jeden rzekł:

— Tłusty nauczył się był wiele jadać, a gdy nie miał co, głodu znieść nie mogąc, umrzeć musiał. A ten chudy, mało jadając, wytrwał głód i żyw został.

„Takiemu, który mało zwyczył się najadać,
Nie może nigdy wielkiej przykrości głód zadać,
Ale z takich, którzy się nałożą obżerać,
Wiele ich musi czasem od głodu umierać“.

W innej powieści tenże poeta zestawia żarłoctwo z gadulstwem i tak przestroga:

„W mowie ja radzę ostrożnym być tobie,
I siła jadać nie pozwalaj sobie,
Bo zbytnie jadło chorobę przywodzi,
A bystra mowa wiele złego rodzi.
Chceszli być w wadze, rzadko tedy mawiaj.
A skromnem jadłem zdrowie swe odnawiaj“.

Kto ciekaw, sporo jeszcze takich opowieści znajdzie w rzeczonej księdze, wydanej przez bibliotekę ordynacyi hrabiów Krasińskich w roku 1879.

RÓŻNE RADY POŻYTECZNE.

Jak oczyścić zaprószone oko. Należy odchylić jak można najdalej dolną powiekę i wpuścić pod nią ziarnko nasienia lnianego, a następnie powiekę wrócić do zwykłego stanu. W pierwszej chwili uczuwa się kłócie, te jednak w kilka sekund ustaje,

bo z ziarnka wydobywa się płyn kleisty, łagodzący ból, jaki sprawia obce ciało niepokojące oko. Płyn kleisty rozchodzi się poza powieką i łatwo go można ściągnąć z gałki ocznej, dotykając chustką kąta ocznego, przyczem zabiera z sobą i obce ciało.

Utrzymanie obuwia. Kto chce utrzymywać obuwie w dobrym stanie, powinien o to dbać. Zdjąwszy buciki czy buty, trzeba je zaraz oczyścić z nieczystości, otrzeć dobrze z kurzu, podeszwy posmarować co dnia lnianym olejem, a wierzch delikatnie, nie za dużo, posmarować czernidłem, a potem czyścić szmatką aż do połysku.

Raz na dwa miesiące trzeba czernidło zmyć z obuwia letnią wodą, a wierzch nasmarować olejem lnianym i tak pozostawić na kilka dni. Potem dopiero poczernić i wyczyścić, jak zwykle.

By obuwie przemoczone nie zeschło się i nie straciło formy, trzeba je twardo wypchać papierem lub szmatami i położyć by wyschło, ale daleko od pieca. Kiedy wyschnie, trzeba je posmarować olejem lnianym i dopiero w parę dni potem poczernić i wyczyścić.

Obuwie przechowywać należy w suchem miejscu. Gdy spleśniałe, wytrzeć je trzeba ściereczką i nasmarować olejem terpentynowym, dodając doń trochę kamfory. Od smarowania wazeliną pęka skóra; kto smaruje obuwie olejem lnianym, długo je nosi.

Obuwie mozna zrobić nieprzemakalnem w następujący sposób: Wziąć kwartę oleju lnianego, wlać do kamiennego garnka, dodać ćwierć funta łoju baraniego, 2 łuty wosku, półtora łuta żywicy i stopić to razem, dobrze mieszając. Płynem tym wysmarować pędzlem czyste, suche i niedziurawe obuwie raz koło razu wierzch i podeszwy bardzo starannie, a obuwie stanie się nieprzemakalnem.

Przeciwko pladze szczurów. Prostym a przytem dla zwierząt domowych nieszkodliwym środkiem tępienia szczurów jest następujący: Zwyczajnę beczułkę napełnić do połowy wodą, na wierzch nasypać plew na grubość 3 do 5 centymetrów, a na to jeszcze trochę mąki lub otrąb.

Tak przyrządzone naczynie postawić w takiem miejscu, gdzie się szczury znajdują. Położywszy deszczułkę z ziemi na naczynie, przyrządza się niby mostek do naczynia. Szczury wyłażą w górę i wpadają, gdy tylko plew się dotkną, w wodę. Ponieważ po bokach wyjść nie mogą, potopią się.

W ten sposób można w jebnej nocy niemal wszystkie szczury wychwytać, jeżeli się dosyć wielkie naczynie przygotuje.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.
Krakowska Drukarnia Nakładowa w Krakowie, Kopernika 8. — Pod zarządem J. Borkowicza

FIGLE I ŻARTY.

Jąkała w kąpielach morskich.

Sługa kąpielowy: Szanowny pan do kąpieli?

Jąkała: Ta...a...ak z po...p...ra...ra...dy...

Sługa kąp.: Aha, z porady lekarza. Niech się pan rozbierze ot tak, a teraz chodźmy do wody. Czy nie głęboka?

Jąkała: Nie. Tyl...tyl...ko...za...za...nu...nu...rzać...

Sługa kąp.: Zanurzać. Dobrze.

Jąkała idzie pod wodę i kąpielowy wyciąga go po chwili bladego jak ściana i wołającego:

— Za...za...nu...nu...

Sługa kąp.: Jeszcze raz? Z całą przyjemnością!

Woda znów pochłania jąkałę, który wychodzi z niej cały siny i woła:

— Za...a...a...nu...nu...rzać...do...do...tór...

Sługa kąp.: Trzeci raz? I owszem!

Po wydobyciu z wody, jąkała rzuca się na kąpielowego i ryczy jak lew:

— Za...a...a...nu...u...rzać... do....o...októr... za...a...a...bro...o... o...nił...

Dziecinne rozumowanie.

— Stasiu, jak będzie liczba mnoga od wyrązu poduszka?

— Pościel, proszę pani.

— Jakto?

— Przecież dużo poduszek stanowi pościel.

Słuszny powód.

Ojciec: Nie rozumiem cię, Antosiu, jak się tak przyjaznić z sąsiadów Mikusiem możesz! Przecież on najgłupszy i najleniwszy uczeń z całej klasy!

Antoś: Dla tego właśnie tak go kocham, bo gdyby nie on, tobym ja był ostatnim w klasie.

Uspawiedliwił się.

Pan: Słuchaj Franciszku, brakuje mi cygar. Czy ty czasem ich nie bierzesz?

Służący: Jak pan może mnie o to posądzać! Mam jeszcze z poprzedniej służby dwa pudełka.

Niemiłe spotkanie.

— Przepraszam, twarz pańska jakoś mi dobrze znana...

— Bardzo być może. Byłem 20 lat dozorcą aresztów.

